

Tancerz (El Bailarin)

Pokój, szeroki ledwie na dwa kroki, długi zaś na cztery i trzy czwarte, był sypialnią, jadalnią, salonem, kuchnią, palarnią, miejscem do pracy (gdy trafiała się jakaś praca, więc rzadko), takim *all in one*, i tylko (na szczęście) nie był kibelem, bo kibel był na półpiętrze, wspólny dla kilku lokatorów. Pavel wynajmował ten pokój od dziesięciu lat, a dokładnie – pamiętał dobrze – od dziesięciu lat i dwóch miesięcy. Wszystko jedno, rzecz w tym, że mieszkał tu od bardzo dawna, więc te wymiary zostały sprawdzone – i to wielokrotnie – z absolutną precyzją. Raz-dwa, raz-dwa-trzy-cztery-i. Można tak chodzić do znudzenia. Liczba dziesięć – gdy to sobie uświadamiał – porażała, więc jednak nie wszystko jedno. Podobnie nie jest obojętne, jak się pisze jego imię, ale P a v e l jest dla tych tutaj łatwe do napisania i do wymówienia. Poza tym to imię poniekąd międzynarodowe. A tak jest lepiej, znacznie lepiej. Praga, Warszawa, Lubljana – kogo to obchodzi. Raz-dwa. Raz-dwa-trzy...

Przez szybę wąskiego okna, powalaną ptasimi odchodami, owadziemi ciałkami i złuszczoną, oraz wyflukaną już mocno przez deszcz, czerwoną – zapewne kiedyś – jak rewolucyjna krew farbą, którą ktoś chciał napisać (bo nie dokończył): „Che. No pas...” (więc niestety przeszli, albo skończył się alkohol), więc przez tę poszarzałą i od tego całego brudu, i ze zwyczajnej starości szybę Pavel spoglądał codziennie w tamto, i n n e okno. Ogromne, zamknięte szklaną połyskliwą taflą. Tamto okno – na tym samym poziomie pierwszego piętra – było inne, bo i dom był inny, nie taki jak jego odrapana, nieodnawiana od lat czynszowa kamienica z trzema dziesiątkami niewielkich mieszkań i pokoi do wynajęcia: na rok, na miesiąc, na godzinę. Do wynajęcia różnym leniom i nieudacznikom na zasiłku, pozał się Boże artystom, niebieskim ptakom, wariatom z połamanymi życiorysami i wariatkom z przetrąconymi nadziejami, dziewczynom z sąsiedniej dzielnicy i ich smutnym klientom, ale przede wszystkim imigrantom takim jak on – na mniej lub bardziej tolerowanym pobycie. Z Europy, z tej drugiej Europy, jeszcze nie tak dawno gorszej i obcej, z Afryki, Azji, bliższej i dalszej, z różnych Półwyspów, Wysp i Wysepek, wreszcie z miejsc takich, co to nie wiadomo nawet gdzie są na mapie (a zatem i w świecie), jeśli w ogóle gdzieś są.

Tamten dom był inny – zadbany, cichy i stateczny. Parter i pierwsze piętro podnajęto na skład czy magazyn, od drugiej kondygnacji w budynku mieściły się jakieś biura, z osobną klatką schodową i wejściem; te nie interesowały Pavla – były poza jego z a s i ę g i e m. Okna dwóch niższych pięter domu były stale przysłonięte: roletami, żaluzjami, j e g o zaś okno – wielką, ciemną zasłoną. Pod dom podjeżdżały – parkując ostrożnie w wąskiej uliczce i tarasując jeden z chodników – półciężarówki i vany, z których wyładowywano różne

skrzynki, kartony, paki i paczki. Inne samochody zabierały te towary po paru dniach, paru tygodniach. Magazyn obsługiwało kilku spokojnych, pracowitych ludzi, ubranych w czyste, jednakowe uniformy; manewrując wózkami widłowymi sprawnie rozładowywali i napełniali auta. Pavel lubił przyglądać się ich bezszelestnej, zorganizowanej pracy i wyobrażał sobie, jak rozkładają, rozstawiają to wszystko na półkach i regałach w pomieszczeniu (pomieszczeniach?) z j e g o oknem. Większe na dole, mniejsze na górze, to jasne. Zastanawiał się, co też skrywają te przeróżne kartony i skrzynie, ale oczywiście nigdy nie ośmieliłby się o to spytać ludzi w wykrochmalonych, odprasowanych kombinezonach.

Patrzył więc codziennie na tamten dom, w tamto okno, bo niby gdzie i na co miał patrzeć?...

...Zajęcia rozpoczynały się po południu i Pavel nie mógł doczekać się nadejścia godziny siedemnastej, gdy do szkoły zaczynali przybywać pierwsi uczestnicy kursów. W oknie powiesił grubą tkaninę o gęstym splocie. Nie wychodził już na wieczorny spacer. Kupował wcześniej ostre picadillo albo stek z frytkami, przyrządzał sobie Cuba Libre lub nalewał kieliszek czerwonego cierpkiego wina, gasił światło w pokoju (na wszelki wypadek), siadał w fotelu i przez wąską szparę między brzegiem kotary i futryną obserwował tancerzy. Do późna, do ostatniego tańczącego, do ostatniej pary. Czasem ostrożnie uchylał okno i łapczywie łapał dźwięki dochodzące z domu naprzeciwko. Sprawił sobie nowe dwuogniskowe okulary – do bliży i do dali, oraz nowy, wspaniały aparat marki Philips (wydał na te zakupy wszystkie oszczędności) – teraz miał t e c h n i c z n e warunki do obserwowania n o w e g o.

Zainteresowanie kursami było spore, ruch w szkole z dnia na dzień robił się coraz większy. Tańce latino były najwyraźniej modne. Po krótkim czasie Pavel zaczął rozumieć, w czym rzecz. Odróżniał już osobę z jakim takim talentem do tańca od kompletnego beztalentia, pozbawionego poczucia rytmu i muzycznego słuchu. Miał swoją rankingową listę i z przyjemnością przydzielał kursantom punkty, gwiazdki, plusy i minusy. Instruktorzy zresztą też mieli swój rating. Był surowym sędzią.

Szybko zauważył, że salsa i tango to dwa rozłączne światy.

Salsa to była radość, zabawa, to był karaibski luz. Salsa to była swoboda, to był boski rytm, salsa była jak radosny seks bez zobowiązań i bez komplikacji. Salsa to był on i ona wokół niego jak osa, salsa to były jego ręce i jej biodra, to splecenie dwóch drgających, wirujących ciał. Salsa to była sama przyjemność tańczenia – pojedynczo, w parach, w kręgu („rueda?”); słownik Pavla wciąż się wzbogacał, ale nurtowała go niepewność – czy dobrze identyfikuje figury, elementy tańca, muzyki (nie było to proste). Salsa. Piętnastoletni tancerz,

trzydziestoletnia partnerka – czy to kogoś dziwi? Salsa to Nic i Nikt, salsa to My wszyscy. Nagość bez wstydu. Łagodny narkotyk. Unsophisticated. 1-2-3-4-5-6-7-8, dyktował tempo instruktor. Kongi dudniły, clave grzechotało.

Zaś tango to była melancholia, tango to był smutek. Tango to były ich błyszczące oczy, to była jej ręka na jego szyi, jej twarz przy jego twarzy, jej stopa na jego stopie, jego noga między jej nogami. Tango to był on i to była ona, czująca jego intencje, zamiary i myśli. Tango to była ona i był on – ten, który spełnia, czego zażąda ona, czego ona pragnie, na co ma ochotę. Jedność i harmonia. Tu kobieta uczyła się być kobietą, mężczyzna – mężczyzną. Tango to był niepokój, to była namiętność, to było ledwie tłumione pożądanie, ukryty żar i zazdrość, tango to była miłość, która nie może skończyć się dobrze. Tango to była samotność we dwoje wśród innych samotnych jak oni. Krąg wewnętrzny, krąg zewnętrzny. Tango to były figury, interpretacja figur, uporządkowanie figur, to były figury figur. Ocho, cruzada, boleó, gancho, parada, sacada, volcáno... Tango to była superpozycja kierunków, kompozycja zwrotów, to była linia i koło, pion i poziom, ruch i bezruch, spokój i gwałt. Tango to była bitwa. Rewolwer i nóż. Los portenos. Tango było upojeniem, mocnym narkotykiem, to było uzależnienie, rozszerzone źrenice i szybki, płytki oddech. Tango to był Carlos Gardel, to Astor Piazzola. Go-tan Pro-ject. La Cumparsita, Libertango. Arystokracja nędznych portowych nabrzeży...

Ryszard Lenc, 2007